Ner 24. Kraków 15 czerwca 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mod i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można za pośrednictwem wszystkich księgarń.

Przy dzisiejszym Nrze załącza się dla Prenumerujących **nuty** i 2gi i 3ci arkusz **Biblioteki dla Kobiet.**

Równouprawnienie.

(Ciąg dalszy.)

O właściwem stanowisku kobiety pisało już niejedno wytrawne i zdolne pióro. — Przytoczę tu jeszcze Kazimierza Brodzińskiego, jak między innymi ze swego stanowiska sztuki przemawia o tém: „U kobiet jest dom rodzinny celem życzeń wszystkich i starań, u mężczyzn jest prawie środkiem do życzeń i posług społeczności. Jego chęci i widoki rozciągają się za dom na ziemię obszerną; dla niéj dom światem, chciałaby szczęście powszechne w nim widzieć skupione. On kocha dzieci jako obywatel, ona kocha społeczność jako matka. W kochance saméj najwięcéj ujmujące są macierzyńskie skłonności, i kobieta kochając prawdziwie, kocha razem miłością matki i córki tak, jak mężczyzna, wzniośle kochając społeczność, poświęca się dla niéj jak syn i ojciec“. — To samo ale w innych wyrazach wypowiada i nauczycielka płci żeńskiéj Klementyna w swém dziełku: „Pamiątka po dobréj matce“ — „Przyroda mocą obdarowała mężczyznę, bo obronę słabszych, sprzeciwianie się niesprawiedliwości, karę występku jemu powierzyła. On krew swoją na placu bitwy wylewa, mądre pisze ustawy, pilnuje ich wykonania, kraje podbija, wznosi, broni ich i rządzi niemi — słowem: jest mężczyzną. — Czulszą i słabszą Bóg stworzył kobietę: łagodzić, miękczyć, uszczęśliwiać śmiałego towarzysza powinna. — Dzikim i ponurym byłby świat, gdyby na nim byli sami mężczyzni; gnuśnym i nieczynnym, gdyby go same zapełniały niewiasty. Wspólny ich związek i wzajemna pomoc są zasadą towarzyskiego porządku, i jeżeli płeć mezka włada światem, nasza go upięknia. Mężczyznie powierzył Wszechmocny ogół życia, kobiecie szczegóły. Do dwóch malarzy oboje przyrównać można: jeden obrał wielkie obrazy i widoki — pewnéj mu i śmiałéj potrzeba ręki do ich kreślenia; drugi miniatury i kwiaty — ostatni wybór cierpliwości, słodyczy i delikatnego pędzla wymaga. W obydwu do doskonałości przyjść można“.

Otóż zdania dwóch wymownych osobistości — zdania godne poszanowania, które pięknie kreślą obraz stanowiska kobiety odnośnie do mężczyzny. Jest tu tylko podział pracy: on wziął na siebie pracę społeczną, publiczną; ona rodzinną, domową.

Czyż taki podział nie jest odpowiedniejszy? Poddasze domu zabezpiecza kobietę od burzy publicznego życia, która nieraz gromem zabija swe sługi. Czyż cichy żywot rodzinny nie milszy nad niespokój obywatelski? Spokój — to całe szczęście człowieka na ziemi. A ten spokój łatwiéj kobieta znajdzie w obrębie ścian rodzinnego domu niż na oceanie wzburzonym *). Dla tego dziwi się Hofmanowa tym kobietom, które zapoznając swoje tak chlubne stanowisko w zakresie rodzinnym, zapoznając cel życia kobiecego, boleją nad tém, że są kobietami. „Jest ważność wielka (mówi ona), są urocze powaby w przeznaczeniu kobiety; nasz los ma korzyści nieocenione. Wierzmy w tém przekonaniu i doświadczeniu wieków, ufajmy słowom świętych i świeckich mędrców, polegajmy wreszcie na wewętrznem uczuciu naszéj godności i znaczenia, i przyznajmy: że lubo powołanie nasze mniéj jest wydatne na pozór, przecież dochodzi w użyteczności męzkiego powołania; część dobrego nam do spełnienia wydzielona, chociaż nie tyle świetna i głośna, jednakowo na szali losów ludzkich i w oczach Boga waży, a prawdziwe szczęście społeczeństwa zarówno, kto wie nawet czy nie więcéj od kobiet niżli od mężczyzn zależy: mężczyzni prawa piszą, kobiety obyczaje tworzą. Płeć, któréj działem się dostało dać życie, pierwszy pokarm, pierwszą naukę, wychowanie serca wszystkim ludziom, jacy tylko byli, są i będą na ziemi, płeć, któréj od-

*) Nie każdéj jednak dostaje się ten spokój w udziale. Jak sobie da radę kobieta, wytrącona okolicznościami z tego cichego poddasza, jeżeli jéj nie zabezpieczemy bytu na zewnątrz, nie damy jéj prawa działania i pełnoletności. W stosunkach obecnych, przy wzroście ludności, a malej stosunkowo liczbie małżeństw (z powodów finansowych) coraz więcéj jest kobiet zostawionych sobie. Cóż te począć mają? (Przyp. red.)

dana jest cała słaba ludzkości strona, gdyż zarówno jak nad dziećmi, któż czuwa nad niedolą, chorobą, ubóstwem, starością, jeżli nie kobieta? pleć, w ręce któréj złożone zostały jako ogień święty i niewygaszony nasiona wiary, cnót domowych i obywatelskich, pleć od któréj moralność rodzin zależy, która podstawę towarzystwu nadaje, miałażby ważności swojéj nie uznawać i narzekać na los swój? — A to poleganie na drugich większe niżeli na sobie, ta słabość przyznana, ta skromności i milczenia zasłona, która zwykle nasze cnoty, ofiary, cierpienia przed światem ukrywa; to bogactwo i żywość imaginacyi, owe serca nieprzebrane skarby, ta gotowość poświęcenia siebie dla drugich, owo pasmo drobnych lecz wiele znaczących starań kobiecie powierzonych, to delikatniejsze uczucie dobrego i pięknego, owo ciche, słodkie i nieznaczne kochaniem królowanie, które nad mężczyzną w kolebce rozpoczynamy i ciągniemy aż do grobu, nie sążto wielkie, urocze powaby? Owa zaś słabsza niż w płci drugiéj namiętności władza, ów wstyd wrodzony, który nas często lepiéj broni i prowadzi niż siła i doświadczenie, ten szczuplejszy powinności obręb, skojarzenie ich zwykle z najtkliwszemi skłonnościami serca, owa możność spełniania miary dobrego, nam zadanéj w domowém zaciszu, owo usunięcie zupełne od niesmaków i niebezpieczeństw spraw, rządu, wojen, nierównie mniejsza odpowiedzialność, nie tak dokładna, przeto mniéj zasmucająca znajomość ludzi i świata, ogólna opieka jaką nas towarzystwo otacza, pomoc, względy, poszanowanie, które wszędzie słabość naszą wspierają i osłaniają, nareszcie sama owa podległość, skutkiem któréj większą mamy łatwość, a poniekąd konieczność być cnotliwemi, czyż nie są nieocenioną korzyścią? Niejedna z nas dla tego jedynie, że urodziła się kobietą, jest wierzącą, moralną; nagle w mężczyznę zmieniona, na pierwszym stanąwszy rzędzie, wnetby drogą błędu się puściła; a kiedy szczęście jest owocem pełnienia dobrego, czyż nie jest pomyślnym los tych, którym przystęp do niego, choć mniéj wydatny, przecież jest łatwiejszym?" *).

I słusznie — osiągnienie szczęścia daleko jest łatwiejszém dla kobiety na jéj stanowisku, niż mężów na widowni obywatelskich zasług.

Na każdéj z t r z e c h d z i e l n i c swego przeznaczenia doświadcza ona chwały, szczęścia i wdzięczności. — „Matka!" — cóż to za wielkie imie w ustach człowieka — jak ono mile brzmi usty, jak słodko przejmuje serce, jak poważnie każe się uginać w poszanowaniu głowie choćby ukoronowanéj nawet potrójną koroną. Marja matka Zbawcy świata porówno z nim zasiadła na tronie chwały w wyżynach niebios ukoronowana przez Boga, ubóstwiona przez wdzięczną ludzkość. Matka żyje chwałą swych synów. Sława męża spływa na jego siostrę, żonę — ale przeważnie na matkę. Ileż to matek cieszy się na swe późniejsze lata promieniem szczęścia, jakie czerpią z kielicha sławy swych synów! Matka odżywa w swych dzieciach — jéj żywot z ich żywotem splątany — umiera dawszy życie. Cóż to za wspaniała konieczności losu ofiara! Matka Koriolana dumnie chowała wieńce sławy swego syna. Kornelia — matka dziewięciorga dzieci, które jak najwzorowiéj wychowała, chlubiła się chwałą swych dwóch najmłodszych synów Tib. i Caja Gracchów. Gdy jéj pewna matrona rzymska z dumą pokazywała swe bogactwa, Kornelia wskazując na swych synów — późniejszych dobroczyńców ludu — z dumą wyrzekła: „to moje bogactwa". — Elżbieta, matka Jagiellonów, którzy tak zaszczytnie narodowi naszemu panowali, stoi na piedestału swych zasług, opromienionym chwałą macierzyństwa. — Czyż ta chwała, w jakiéj matka uczestniczy z swymi syny, nie jest już dostatecznym warunkiem szczęścia, dostateczną monetą nagrody?

(Ciąg d. n.)

---

*) Nie trzeba nam zapominać, że te słowa pisane były w chwili, gdy szał źle zrozumianéj emancypacyi ogarnął kobiety — szał, który przestraszał trzeźwo patrzących. Dziś, gdy ta gorączka minęła, nie ze wszystkiem można się zgodzić na zdanie Sz. Autorki, a szczególniéj w tém, że brak sposobności czynienia źle robi kobiety cnotliwemi. Czyż może być cnota tam, gdzie nie ma wolności działania? Prawda, że kobiety przez nieodpowiednie wychowanie i wykształcenie nie dorosły jeszcze praw, jakiemi ich niektórzy uczeni obdarzyćby chcieli — ale ta małoletność tyczy się czasu a nie istoty rzeczy. Odmawiając praw obywatelskich kobiecie, tém samém musielibyśmy także i sprawę uwłaszczenia i równouprawnienia włościan odsunąć na długie lata jedynie z uwagi na ich małoletność polityczną i naukową. (Przyp. red.)

W pamiętniku H. H.

Powiedz mi, czemu wodne lilje białe
Piękne swe główki smutnie w dół schylają?
Czemu, choć jasną szatą tak wspaniale,
Z tęsknotą oczy w toń wody spuszczają?
Czemu uśmiechem nie płoną im lica?
Nie wiem — to cicha kwiatu tajemnica.

Gdy widzę Ciebie — przed duszy méj wzrokiem
Stają te ciche jeziora królowe.
Czemu tak smutném w świat ten rzucasz okiem,
Czemu w dół chylisz jasną Twoją głowę?
Życie jest ciągłym, powiadają płaczem,
Życie jest smutnym pochodem tułaczym.

O nie! choć czasem serce krwią zachodzi,
Choć w życiu nieraz łez i bólu wiele,
Lecz obok cierni ono róże rodzi,

Lecz jest w niém także szczęście i wesele.
Toż córo Karpat, w górę jasne czoło —
Idź w świat z uśmiechem, swobodnie, wesoło.

Życzę Ci Pani, aby po Twém czole
Wtedy się tylko przesunęła chmura,
Gdy myśl Twa padnie na ludu niedolę —
Życzę, byś ludu gnębionego córa
Wtedy się tylko zalewała łzami,
Gdy wzrok zatrzymasz nad braci mękami.

Życzę, byś owéj doczekała chwili,
W któréj w Twém oku powstaną pioruny
Na tych, co walką zwycięzką wzgardzili,
Co zamiast walczyć, wolą trącać w strony,
Co zamiast krwią swą nucić hymn bojowy,
Wolą bezpiecznie ukryć podłe głowy.

— *R.* —

Hermanowe grzechy i kłopoty.

II.

ZBIGNIEW.

(Ciąg dalszy.)

Zbigniew. ta ciemna średniowieczna postać rysująca się zawsze tak czarno na tle Hermanowych dziejów, mieszkał obecnie w klasztorze na Szlązku, kryjąc przed oczami ludzkiemi ponurą twarz w mniszym kapturze.

Mówiliśmy poprzednio, że Herman kochał bardzo Zbigniewa i jego matkę; Zbigniew pod okiem troskliwego ojca obiecywał wiele. Był to bowiem jeden z tych ludzi, co w braku samodzielności giętko uginają się pod wolą innych ludzi i równie cnotliwy jak i zbrodniarz z nich stać się może. Zbigniew ochoczo brał się do nauk, umysł jego prędko się rozwijał, a brak rycerskiego ducha nagradzał bystrością i rozwagą. Jednak przyszła chwila, w któréj dobre ziarno posiane w jego serce miało zniszczeć i zatrzeć się, a na pustkowiu miał się kąkol złych myśli i szkaradnych żądz rozkrzewić. Tą chwilą było wesele Hermana z pierwszą swoją żoną, przed któréj przybyciem jemu i matce jego kazano wyjechać z Krakowskiego zamku. Odepchnięcie i zaparcie się — to był pierwszy robak, co ugryzł go w serce i od tego ukąszenia skurczyła się i zwinęła w kłębek jego dusza. Widział cichy, głęboki smutek swéj matki, smutek, na który nie miał innego lekarstwa, prócz myśli dalekiéj zemsty — i ten smutek bolał go, gniótł go i ranił. A z drugiéj strony nie mógł matce darować podłości swego urodzenia, odepchnięcia go od boku królewskiego. Tak więc i cierpiał z miłości dla matki i złorzeczył nieraz matce z miłości dla siebie. Cierpkie nieraz były z tego powodu chwile pomiędzy niemi, gorzkie wyrzuty i żale; aż raz matka gdzieś znikła. Podobno na Pomorze do swoich wróciła. Zbigniew zmartwił się tém bardzo — hardy umysł jego skruszał tą boleścią matki, która uciekała przed jego złém sercem — napisał więc do króla, że chce zostać mnichem i król wskazał mu Szlązk na mieszkanie, polecając straż nad nim Magnusowi, rządcy Wrocławskiemu.

W klasztornéj zaciszy Zbigniew zcichnął w namiętnościach swoich — smutne mury klasztoru, ciągle pacierze i czuwanie, ztępiły ostry umysł i dzikie chęci. Głowę w dół pochylił, spokorniał i postarzał nad wiek. Czasem tylko w błysku czarnych oczów, gdy go kto słowem dotknął, poznać było, że tam pod popiołem spokoju tleje jeszcze straszny wulkan — czasem, gdy z okien klasztoru wodził okiem po dalekich zamkach, co na jasném niebie sterczały — westchnienie dobywało się z jego mniszéj piersi i sfałdowane czoło mówiło, że syn królewski odżuwa w pamięci jakieś dawne zachcenia i zamysły.

W takiém właśnie był usposobieniu, gdy mu znać dano, że posłowie króla czeskiego Brzetysława przyszli do niego. Zdziwił się nie pomału Zbigniew, coby znaczyć miało to poselstwo, gdy do zakonnéj celi weszło kilku posłów i rzecz całą od króla czeskiego mu oznajmili.

Krwią nabiegły lica Zbigniewa i serce zabiło mu mocno na myśl podsuwaną przez Brzetysława, ale prędko chytrą pokorą pokonał wzruszenie i rzekł spuszczając oczy w ziemię:

— Nie moją rzeczą czynić sprawiedliwość ludziom i sobie — zdałem to na Boga, i nie od siebie zależę.

A posłowie mu odpowiedzieli:

— Toć i Kazimierz dziad wasz uczynił śluby zakonne, a gdy potrzeba go było na królestwie, zrzucił mnisze szaty i wrócił do Polski.

— Nie ja wam na to odpowiedzieć nie mogę — odrzekł Zbigniew — idźcie do przełożonych moich i tych pytajcie.

Tedy poszli posłowie do przełożonego, a Zbigniew wśród natłoku różnych myśli, niespokojny czekał, co mu przyniosą. Chodził po celi dużemi krokami, w klasztornych murach było mu za ciasno, mnisza suknia dusiła go, i rozigrane Brzetysławową obietnicą myśli zaleciały na tron polski.

Przełożony zakonu sprzyjał Hermanowi i Sieciechowi, zgorszył się więc żądaniem posłów i odpowiedział im, że śluby zakonne zamknęły na zawsze Zbigniewowi drzwi klasztorne i że już dawno pożegnał się z nadziejami światowemi.

Z temi słowy zasmuceni posłowie wrócili do Zbigniewa. On przygotowany był na to, że przełożony zezwolił, wcześnie więc umyślił ociągać się, namyślać; gdy mu atoli doniesiono coś, czego się nie spodziewał,

rozjuszył się mocno jak lew, gdy mu wędzidło zarzucą na pysk i rzekł źle, kryjąc gniew i dumę:

— Największym przełożonym dla mnie jest moja własna wola i gdyby mi ta radziła, poszedłbym z wami; ale mnie się nie chce mieniać kłopoty światowe na ten spokój, jaki tu mam.

— Królewiczu, rzekł jeden z posłów — podle urodzonym ludziom przystoi gnuśnieć w spokoju, ale nie królewskiemu synowi.

W téj chwili wszedł do celi przełożony i rzekł:

—Cóż to ja widzę, Zbigniewie, w twoich oczach rozpłomienionych czytam, że silna pokusa przyszła na ciebie, obleczona w słowa tych ludzi.

Zbigniew obrażony i dumny odpowiedział:

— Pokusą nie jest dla syna królewskiego posiąść tron — to jego prawo i nic więcéj.

— Jakto, i ty śmiałbyś myśleć o złamaniu ślubów zakonnych?

— Wszak i mój dziad to uczynił.

— Ale uczynił nie dlatego, aby walczył przeciw własnemu ojcu, jeno żeby uciśnionym pomódz.

— I ja w imieniu uciśnionych idę bić się.

— Zbigniewie, pod klątwą kościelną zakazuję ci tego. A wy, coście tu przyszli odrywać człowieka od Boga, opuśćcie te mury, by obecność wasza nie stała się tu zgorszeniem.

Zbigniew czy nie spodziewał się takiego nagłego i stanowczego wystąpienia przełożonego, czy nie mógł się zdobyć na krok stanowczy milczał i spuścił oczy, a posłowie nie wiedząc co robić, parci wzrokiem poważnego mnicha, szli ku drzwiom.

Dopiero kiedy klasztorna furta zatrzasnęła się za nimi, kiedy Zbigniew sam jeden pozostał — srogą uczuł tęsknotę, a raczéj żądze wystąpienia w myśl życzeń Brzetysławowych. Bał się, by sposobna chwila nie przeminęła i wśród niespokojnych myśli całą tę noc przepędził. Złudne, kuszące myśli spać mu nie dawały, unosiły jego ducha, ale każda śmielsza myśl rozbijała się o kraty i furty klasztorne i to go męczyło. Bądź co bądź postanowił wydostać się na wolność i zrzucić z siebie mnisze szaty. Nie długo czekał na sposobność.

Rano, gdy wracało z chóru kilku młodych zakonników, co byli jak on dopiero po pierwszych ślubach — wyszedł wraz z nimi do ogrodu pod cieniste drzewa. Chodzili wzdłuż ulic lipowych, zkąd szeroki rozlegał się widok na okolicę.

— Śliczny świat — rzekł jeden.

— Ale nie dla nas — szepnął drugi.

— Tam, gdzie ten srebrny pasek wody bieleje nad sinym lasem, tam mój dom i moja rodzina.

I zapatrzył się młody mnich i inni z nim, każdy myśląc o tém, co zostawił milego za furtą klasztorną.

— A czemu porzuciłeś rodzinę? spytał Zbigniew.

— Bom wolał być mnichem, niż biédnym.

— A ja mógłem być bogaty — rzekł inny ponuro, ale wola rodziny osadziła mnie tutaj.

— I nie żal wam świata? pytał daléj Zbigniew.

— Przecz Zbigniewie, kusisz nas — rzekł jeden najmłodszy — przecz kusisz nas światem i szatanem, których my się wyrzekli.

— A gdybym ja wam rozwarł bramy tego klasztoru, gdybym wam piękny los zgotował na świecie?

— Mówisz jak kacerz i kusiciel — rzekło kilku i odeszli precz do przełożonego, kilkunastu jednak zostało, słuchając chciwie słów królewicza. Zbigniew zapalił się w mowie, obecna chwila zdawała mu się najsposobniejszą i mówił:

— Bracia, za temi murami uśmiecha się dla was świat cały, a mnie tron królewski, który wy otaczać będziecie. Nie tylko w mniszym kapturze jest chwała boża i zbawienie człowieka. Niech starcy się modlą i w klasztornych zamykają murach — dla nas rycerska sława, dla nas boje, dla nas świat. Czy pójdziecie ze mną?

— Pójdziemy — zawołali z zapałem zakonnicy, których ręce drżały do boju, pierś pragnęła na szerokiém polu odetchnąć.

Wtem z przedsionka z cienia filarów wyszedł przełożony z groźném i surowém obliczem, a z nim kilku zakonników. Zbigniewa towarzysze skupili się w około niego pomięszani i pytali:

— Cóż poczniemy?

— Co? przebojem iść przez tych starców i wyłamać drzwi klasztorne. Wszczął się zgiełk i zamięszanie, starcy słowami i rękami wstrzymywali bezbożnych szaleńców, ale napróżno. Za czas niedługi drogą od klasztoru leciał Zbigniew, a z nim jego wierna drużyna.

Ciąg d. nast.

Wystawa obrazów w Krakowie 1867.

Sprawozdanie z wystawy byłoby niedostateczném, gdyby nie obejmowało wszystkich naszych ważniejszych produkcyj z ubiegłego roku; dla tego téż niepodobna nam zacząć go od kogo innego, jak od nieobecnych. Matejko i Grotger zasiedli na wystawie w Paryżu. Matejko z dwoma obrazami: „Upadek Polski“ i „Sędziwój“, które są znane w kraju. Grotger z „Litwą“ i „Wojną“. W szeregu obrazów krédkowych przedstawił artysta całą okropność wojny, wszystkie nieszczęścia, jakiemi przygniata serce, rodzinę, całe jéj barbarzyństwo i bezpłodność. Kilka tych obrazów, które jeszcze przed wyjazdem artysty z kraju ukończone były, można nazwać: kometa, rekrutacja, wymarsz, pożar, sieroty... W głębi każdego są dwie postacie; anioł natchnienia pokazuje artyście odmalowane sceny. Na ich obliczach

odbija się to wrażenie, jakiego dozna każdy myślący widz. Jest to wielce charakterystyczne, że okropność wojny przedstawił artysta pochodzący właśnie z narodu osławionego jako wieczny burzyciel — ale bo któryż naród od wojny, od gwałtu więcéj ucierpiał i cierpi! Grotger wydał również „Wieczory zimowe“, nowe album z sześciu obrazów fotografowanych przez Szajnoka we Lwowie; są tam oprócz głów Chrystusa i Matki Boskiéj, matka z dziećmi przed więzienną kratą — inwalid opowiadający dzieciom — więzień w kopalniach nerczyńskich.... Wszystkie obrazy Grotgera rysowane z ogromną siłą i prawdą i pełne cudownych efektów wydobytych bez pomocy farb, są jedną porywającą pieśnią o losach narodu z ostatnich lat — opis ich wymaga raczéj poematu jak sprawozdania. To téż obrazom towarzyszą w albumie piękne wiersze Winc. Pola.

„Wojna“ Grotgera prowadzi nas do obrazu Kotsisa „pochód rekrutów“ — który na tegoroczném wystawie krak. publiczność najwyżéj stawiała. Jest to niezaprzeczenieobraz o wielkich zaletach, a jednak wbrew ogólnemu zdaniu musimy go za chybiony uważać. Ulicą przed domem jakimś rządowym, na którym poprzylepiane plakaty odnośne do ostatniéj austryjacko-pruskiéj wojny, idą nasi rekruci w rozmaitych mundurach — postacie wybornie uchwycone, bądź to z wyrazem idiotycznéj obojętności, bądź smutku, bądź bez wyrazu. Przechodzą oni wpośród grup rodzin swoich żydowskich, włościańskich odprowadzających ich z pożegnaniem, boleścią i tłumoczkami — każda grupa oddana z serdeczną prawdą. Na téj samej ulicy widzimy i cielę pędzone na rzeź — tj.: rzecz ta sama w innéj postaci; — a z boku garbusek, który się przypatruje z złośliwym uśmiechem, bo jego nie wezmą, więc widzi tu jedyną okoliczność, że mu się garb na coś przydał. Oto materjał obrazu. Widz przyznając prawdę każdéj postaci i grupie, czuje jednak pewien niesmak, coś tu razi, czegoś brakuje, coś niepokoi. — Oto nie ma harmonii między bolesną myślą, jaką każdemu widzowi nasuwać musi rekrutacja — a między jéj przedstawieniem w obrazie w sposób rodzajowy, lekki. — Rzecz poważna, budząca uczucie tragiczne, po flamandzku traktować się nie da — zabrakło tu artyście najpierw postaci, któraby szła z zapałem — daléj zaś owo cielę zestawione z przedmiotem trącającym o duszę narodu — razi trywialnością, karykaturuje tragedją; a ów garbusek tylko wtedy byłby na swojém miejscu, gdyby był w mundurze biurokraty-pijawki. Słowem rzecz i jéj wykonanie — obraz i uczucia widza stanowią zgrzytliwy kontrast, który się pogodzić nie da, który się obraca na niekorzyść obrazu. — Całość wygląda na żart, zaś każda grupa z osobna — jest doskonałą. — Niech nam daruje artysta, ale wolimy jego poprzednie obrazy harmonijne, pełne szczerości, sielanki, a nadewszystko głęboko przemyślane.

Drugi obraz, w którym sobie publiczność wielce podobała, jest Kostrzewskiego: „Odpust wiejski na Mazowszu“; kościołek oparkaniony, ocieniony drzewami w głębi — na przodzie szerokie miejsce zastawione budami jarmarcznemi; wpośród nich snują się tłumy ludu, mężczyzni i kobiety: pyszny jest przekupień żyd, pyszny parobek pokazujący korale zapłonionéj dziewczynie, wyborne grupy postaci z waszecia, albo znowu parafialnych elegantów; jest ruch, swoboda, powietrze, wszystko nasze — a jednak całości nie ma. Obraz tak jak jest, jest żywcem schwycony z natury — mógłby być kopjowany z fotografii — nie ma w nim artystycznéj architektoniki — oko się rozrywa; spoczywając na szczegółach, nie widzi całości, a na całości spocząć nie może, bo nie ma punktu, około którego całość by się grupowała: nie ma jedności — obraz rzucony jest od niechcenia i od niechcenia malowany. Talentu starczy, potrzeba tylko więcéj obmyślenia, a mniéj doraźności. Zawsze świeży dowcip Kostrzewskiego, dowcip którego pełno i w tym obrazie, popsuł się i rozluźnił trochę przez te ciągłe szkice i karykatury, jakie umieszcza w warszawskich ilustrowanych pismach. Tam wystarcza rzucić kilka linij, podchwycić naturę i jeszcze wydrzeźnić — ale w obrazie, zwłaszcza tak wielkich rozmiarów jak „odpust“, potrzeba więcéj przysiedzieć, wykończyć, obmyśleć.

Do większych kompozycyj tegorocznych należy „Grażyna“ Jaroszyńskiego, przedstawiona w chwili, kiedy ją ranną z pobojowiska uprowadzają. — Poetyczność kompozycyi, koloryt żywy, główną uwagę ściągają na siebie. — W ogóle wielki postęp i w pomyśle i w wykonaniu od poprzednich obrazów tego artysty.

Ulubione przedmioty „Miecznik i Maria“ i „Zygmunt August“, znalazły tego roku swoich malarzy, pierwszy w p. Cynku, drugi w p. Mireckim, który dał Zygmunta Augusta na schadzce z Barbarą w ogrodzie wileńskim, i drugi raz klęczącego przy jéj grobie. Oprócz tego dał ten artysta dwa obrazy „pierwsza miłość“ i „lutnista podsłuchiwany“.

Równie ulubiony przedmiot obrał p. Łuszczkiewicz; przedstawił „Kochanowskiego“ czytającego swój psałterz w Czarnolesie — wokoło niego siedzą: biskup Piotr Myszkowski, Rej z Nagłowic, Stryjkowski, Joachim Bielski, i żona z Urszulą na kolanach.

Do tego rodzaju obrazów należy także „Maryna Mniszchówna“ K. Młodnickiego, przedstawiona z dowódzcą kozaków w grocie podczas ucieczki, przy trupie

swego synka. Dziką fantazją nastroił tu widzocznie Agaj-Han Krasińskiego, przyczém jednak zapomniał artysta o względach należących się rysunkowi i prawdopodobieństwu. (Ciąg d. n.)

O muzyce i niektórych jéj mistrzach.

(Ciąg dalszy.)

Symfoniczny sen nocy letniéj prowadzi mnie mimowolnie do téj zachwycającéj partytury, w któréj błyszczą wszystkie gwiazdy południowego nieba. Elfy, skierki i gnomy Mendelssohna zawodzą tutaj swoje najwdzięczniejsze tańce, wpośród tego dźwięczą i szemrzą kwiaty, ptaszki się śmieją, a całość oskrzydla czarującą tajemniczością najpiękniejsza noc lasu. Pojawiają się pary zakochanych, gubią się, szukają, ale to co jest w nich ludzkiego jest jakieś obce, dalekie, jakgdyby ich uczucia były tylko sennemi uludami, jak gdyby oni sami byli tylko staffarzem sennego krajobrazu. Nagle we fantasmagorją téj przeźroczystéj sceny wpada tłum najrzeczywistszych figur, wiązka najzuchwalszych błaznów i rozpraszają jednym zamachem poetyczny narkotyzm. Jednak i wpośród najgrubszego humoru niema tam nigdzie ordynarności. Owszem, szło tutaj o to, żeby oddać surowy humor, ale uidealizować go. Schakespear rozumiał dobrze cel, dlaczego hanswurstów swoich uidealizował przez uniwersalny humor ich dowcipu; nie chciał on zwykłych śmieszków rysować, lecz przez ironiczny kontrast ich naiwnéj rzeczywistości chciał zneutralizować romantyczne niepodobieństwo swojéj komedyi. W uwerturze skorzystał Mendelssohn z tego kontrastu między romantycznością a humorem i użył go do niesłychanych orkiestralnych efektów. Nie znam nic gienialniejszego, jak ono miejsce, gdzie humorystyczne basy podrzeźniają smyczkowemu szeptowi elfów. Scherzo *g*-moll otwierając akt drugi, jest może najdoskonalszym utworem literatury elficznéj. Ta klapanina jest pełną tajemniczéj złośliwości; z jakąż komiczną powagą poczynają się i załagadzają te rusałczane spory. Niby jakiś lekki oddech miesza się tam niekiedy w serdeczne utrapienie zakochanych — lecz znowu elfy chichoczą się i broją, aż wszystko rozbrzmiewa w woń i księżycowy blask. Ustęp *a*-moll, który przedstawia ucieczkę i szukanie, jest z delikatnym zmysłem tylko przelotnie naszkicowany tak, że robi wrażenie niby akwarelli: nigdzie nie nasyca oka tłusta farba; tém gorętszy jest koloryt w ustępie snu. To *e*-dur ma w sobie w istocie coś ospałego, coś z ciszy leśnéj — zdaje się, że oddech śpiących słychać. Marsz weselny, odważę się powiedzieć, razi mnie trochę, bo wprowadza w tę wysoko-poetyczną partyturę, nieco za realne kontury. Lecz jest to rozkosz słuchać go na wolném powietrzu; dowcipny zwrot pierwszych harmonij, te trios zacierające się nawzajem, ulotne trillery na końcu, a nadewszystko uroczyście wspaniały ton rytmu i orkiestralnego rozłożenia całości, wywiera świetne, pyszne wrażenie.

A cóż się dzisiaj dzieje? *Berlioz, un homme d'esprit*, który napisał tak powabną książkę jak *soirées d'orchestre*, był w stanie popełnić coś takiego, że w jego *Fauście* piekielne duchy mówią jakimś sobie właściwym językiem, który jest posklecany z najczystszych bezsensów. W istocie słysząc to, można oniemieć. Gdy się pytano Newtona, jakim sposobem odkrył prawo ciężkości odrzekł: „ciągle o tém myśląc“. Berlioz tutaj chyba przeciwnie, wcale nic nie myśląc.

Wiem, że pani nie należysz do tych nerwowych wielbicielek Mendelssohna, które dostają migreny, jeżeli się ktoś nie unosi nad którym z jego utworów. Niech P. Bóg strzeże każdego przed przyjaciółmi. Po większéj części sąd ludzi o dziełach Mendelssohna budzi tylko interes jako psychiczny paroksyzm; zanim jeszcze pierwszy ton się odezwie, oni już są gotowi wyprawić sobie przyjemność wykwintnéj emocyi, klaskać właśnie wtedy, gdy mistrz nagle powrotem tematu niespodziankę sprawia i nareszcie oddać się owemu elegijnemu omdleniu i zapaść w czułostkowy światłocień — co wszystko stanowi narodową barwę M e d e l s o ń c z y k ó w. *Sen nocy letniéj*, czy *Athalia*, *Hebridy*, czy uwertura *Ruy-Blas*, *noc na Walpurgis*, czy *hymn pochwalny*, to im wszystko jedno: ostatni motyw na trio *d*-moll tak dla nich piękny, jak pierwszy, a poważne *warjacje* mięszają z ostatnim zeszytem *pieśni bez słów*; o święta Cecylio! A cóżby na to powiedział mistrz, on, który niechciał, żeby w koncercie więcéj jak jeden jego kawałek grano.

Historyczne ocenienie znaczenia jego dopiero przyjdzie. W granicach swojéj natury rozwinął on się tak świetnie, jak nikt jeszcze. Czego może dosięgnąć najszlachetniejsze dążenie, najznakomitsze wykształcenie, on tego dosięgnął. Wszystko, co tworzymy, mówił mi raz, są to pierwsze próby; biada artyście, który się bierze do dzieła z uczuciem, że jest już mistrzem. Jak on sam, tak jego harmonia była na wskróś przeźrocza, wykonalna — od twardych i surowych zwrotów miał wstręt, nad formą panował, jak chyba Mozart przed nim. Posiadał ten wielki dar wypowiedzenia wyraźnie wszystkiego, co tylko się w duszy jego podczas produkcyi działo.

To właśnie jest wielką różnicą między nim a Szumanem, któremu brak wyrazu i połowę tego, co chce powiedzieć znowu w sobie zamknąć musi. Ma on może czujniejszą siłę fantazyi, ale darem tworzenia Mendelssohnowi nie wyrówna. Gdyby przy niesłychaném bogactwie natury, miał równy talent twórczy, wyrównałby może Bethowenowi.

Kiedy nam odsłonił cudowny, niebieski kwiat swo-

jéj romantyki, osłupieliśmy niewiedząc, zkąd się wzięła. Ta woń była za cudowną, te formy za szczególne, a życie w nich zdało nam się czarodziejskiém. Romantyka ta senzytywna, promienie słońca ją ranią i tylko księżycowi odsłania swoje kwiatowe lica.

(Ciąg d. n).

Przed dwudziestu kilku laty literackie pisma wspominały o wyszłym wtedy zbiorku poezyj Anny Krakowianki. Jako szczególniejszą zaletę przytaczały, że poezje te wyśpiewała poetka schylona nad igłą i mozolną pracą zarabiająca na utrzymanie. — Nie były to więc utwory pisane dla księgarzy, dla sławy — ale spowiedź duszy cichéj kobiety, jéj sny i marzenia, jéj troski i nadzieje, rozmowa jéj serca z Bogiem, przyrodą i ludźmi. Ztąd ta woń i urok, ztąd to sympatyczne ciepło, jakie wieje na twarz czytelnika z tych drobnych, polnych kwiatuszków poetycznych. Gdzie brak pretensyi — tam prawda, gdzie prawda — tam piękno. — Pochwały oddawane wtedy autorce nie zawróciły jéj głowy, nie porwały z cichego ustronia poetycznych zadumań na zakurzony gościniec literackich, rzemieślniczych robótek, jak tyle innych kobiet, które z rękami zaczernionemi atramentem, z oczami szukającemi z umęczeniem natchnień po suficie pokoju zmuszają się do pisania z zapoznaniem rodzinnych obowiązków, świętszych i pewniejszych niż owa sława za którą gonią, a która rzadko komu wkłada swoje laurowe wieńce. — Długie milczenie Anny Krakowianki jest dowodem, że nie chęć dostania się przebojem po stopniach tysięcy wierszy na szczyt sławy, podała jéj pióro do ręki — ale potrzeba duchowa, konieczna. Jak pączek musi się rozwinąć i woń, więzioną w zamkniętym kielichu, wydać z siebie — tak i poetyczne dusze mają chwile, w których rozkwitają w słowach. Po owym zbiorku poezyj jedynie po dziennikach napotykaliśmy tu i owdzie jakiś wierszyk Anny L. — Kilka lat temu dopiero ujrzeliśmy obszerniejszy poemacik osobno wydany: „Wiejska rodzina“, a dziś mamy przed sobą tegoż samego pióra dramat w trzech aktach, p. t: „Jadwiga, królowa polska“. — Ponieważ tak rzadko spotykamy się teraz z poetycznemi utworami kobiecemi, szczególniéj w naszém mieście, przeto o téj nowéj publikacyi obszerniéj wspomnieć się godzi. Autorka wzięła z dziejów naszych najwdzięczniejszą postać, opromienioną aureolą poświęcenia, otoczoną boską prawie czcią całego narodu; — ale właśnie to zapoteozowanie Jadwigi jest głównym powodem, dla którego dramatyczny utwór na tém tle staje się niepodobnym, choć tylu kusiło się o to. Nawet talent najznakomitszego dziś u nas dramaturga Józefa Szujskiego nie zdołał ze wszystkiem pokonać téj trudności — i chcąc szczupłą treść rozwinąć w pięcio-aktowy dramat, a idealną postać królowéj uczynić więcéj dramatyczną, musiał nieraz odzierać ze szat świetlanych, jakiemi ją uwielbienie narodu odziało. — Dramat musi mieć za przedmiot ludzkie namiętności, musi czuć ziemię pod stopami — tam gdzie zaczyna się apoteoza, ustaje dramat, znikają ludzie a występują idee. Jadwiga, jak ją sobie wyobrażamy wszyscy — nadaje się jedynie do lirycznego poematu, a co najwięcéj do obrazu dramatycznego. — Takim też obrazem jest utwór Anny Krakowianki. Brak akcyi dramatycznéj wyraźnie czuć się daje, ale za to liryczny nastrój, w jakim jest cały poemat trzymany — jest nieraz głęboki i pełen uczucia. Autorka z miłością kreśli niektóre chwile królowéj — a do tego z wielką prawdą, bo jako kobieta czuje i rozumie dobrze boleść i męki kobiecego serca, choćby królewskiego. — Podanie przebiegu dramatu potwierdzi nasze zdanie: Akt pierwszy rozpoczyna się w komnacie królowéj oświeconéj lampą wiszącą u stropu — obraz Boga-Rodzicy — obrazy królów — Jadwiga w białym, rannym stroju klęczy przed obrazem Boga-Rodzicy na aksamitnéj poduszce klęcznika i modli się. Czemu? — Bo czuje jakąś „trwogę serca, duszy niepokoje“ — w skutek snu nocnego, w którym Anioł przypomniał jéj Dąbrówkę i mówi coś o poświęceniu:

Wielkich dzieł nie dokaże nikt bez poświęcenia —
Ludzie poświęcając się, powinni spełniać zamiary Boże, bo tylko
Raz przyszło słowo z nieba uczyć wiary,
I pozostało słońcem w ich duszach zamknięte;
Lecz promienie być muszą światu rozwinięte
Przez dusze czyste, święte.

Spełnienie posłannictwa, poświęcenie — te dwa słowa stanowią oś, około któréj odbywają się rozpaczne walki kobiecego serca, szkoda tylko, że te słowa, jak również myśl założenia akademii nie wysnuła samodzielnie z siebie królowa, ale jéj poddał sen. Autorka za wielki nacisk kładzie na sny i wizje (patrz w akcie III. przy końcu), co wcale nie jest dramatyczném.

Królowa te sny o swojém posłannictwie odpycha z trwogą od siebie — naprzeciw wielkości idei, która cięży nad nią, stawia krzyk kobiecego serca, domagającego się praw swoich:

Niech tylko widzę miłość — miłość jednę czuję.

Te przeczucia, sny zaczynają nabierać wyraźniejsze rysy rzeczywistości w słowach Jaśka z Teńczyna, który donosząc jéj o przybyciu Wilhelma, donosi jéj zarazem, że widzieć się jéj z nim nie wolno; że życzeniem jest narodu i senatu, aby poślubiła Jagiełłę, zważając na korzyści, jakie kościół i naród ztąd odniesie. Jadwiga nie chce o tém słyszeć. Tu następuje owa scena z toporem przy bramie zamkowéj i Jadwiga schodzi się z Wilhelmem w refektarzu klasztoru franciszkańskiego (akt II). Ten akt jest arcysłabiutki, a głównie przez to, że autorka chcąc go ożywić, użyła efektów zużytych, a tutaj niewłaściwych. I tak rozmowa braciszków będąca słabą reminiscencją z „księcia niezłomnego“ jest tu wcale bezpotrzebną.

Braciszek 1.

Ten przepyszny dywan nowy
Razu jeszcze nie użyty,
Dar i pomysł onéj królowéj
Jéj rączkami w Węgrzech szyty,
Rozciągnijmy przed jéj tronem.
Co za ptaki, co za kwiaty,
Paw ten z błyszczącym ogonem,
Jakże piękny, jak bogaty!

Braciszek 2.

Drobne stopki na nim złoży
Nasza pani uwielbiona —
Żaden obraz świętéj bożéj
Nie tak piękny, jako ona.

Czyż podobna, aby podobnego porównania używał braciszek i to w owym czasie?

Daléj nie wiem, czemu królowéj w chwili widzenia się z Wilhelmem zachciewa się muzyki i tańca narodowego — chyba dlatego, żeby dać powód wejścia ni ztąd, ni z owąd jakiemuś bardowi, który jéj znowu śpiewa mniéj-więcéj to samo, co we śnie słyszała. Ten bard, ta rozmowa braciszków, wszystko to niepotrzebne, a więc i niesmaczne. W końcu ma nastąpić tajemny ślub z Wilhelmem, ale panowie polscy wejściem swojém przeszkodzili temu. Omdlałą Jadwigę polecają odnieść do komnat królewskich, a Wilhelmowi rozkazują opuścić Kraków.

Wtedy Jadwiga zdobywa się na heroizm miłości (akt III) składa koronę i chce wyjeżdżać z Polski. Senat zgromadzony nie

umie przełamać jéj woli, nie umie jéj powstrzymać. Wtém odzywają się dzwony — lud tłumnie gromadzi się przed zamkiem żegnać płaczem młodziutką królowę. To chwila stanowcza w dramacie — Jadwigę porusza płacz tego ludu, zdobywa się na poświęcenie dla niego — dla niego — dla miłości jego poświęca miłość swoją — zamiast z kochankiem, z wielkim czynem ślub bierze, (jak powiada Bodżenta) i daje z siebie przykład poświęcenia, bo brakiem poświęcenia giną narody. Zakończymy tę wzmiankę słowami, jakiemi Jadwiga żegna się ze swojém szczęściem:

Niechaj (mówi ona) umilkną dzwony, lud ciszy pozwoli —
Chcę pożegnać westchnieniem lubą młodość moją,
Którą tracę obecnie — choć stracić się boję.
Jéj cudny kwiatek czuję, jak schnie na jéj skroni,
Wkrótce listek po listku zwiędnięty uroni,
I zostanie z méj róży — korona cierniowa.

— **Majówki**. Pora fijołków i konwalij nie bardzo tego roku pogodą dopisywała, niemniéj jednak Bielany, Wola, Panieńskie skały i inne prześliczne okolice Krakowa roiły się od narodu cieszącego się wiosną. Bo też święto wiosny jest jedną z owych cichych i łagodnych chwil w życiu, które łączą i starych i młodych i uczonych i prostaczków — bo komuż nie jest ciasno w zimie, komu nie potrzeba powietrza i woni leśnéj i świeżéj zieleni i szerszego nieba, niż go widać z okna? To też majówkom dzieci, które razem z kwiatami mają pierwsze prawo do wiosny, towarzyszyły zawsze liczne grona starszych i muzyka. Naprożno częsty deszcz psotnik chciał nieraz zamącić wesołość — nie udało mu się. Szereg majówek rozpoczęły szkoły ludowe, potem gimnazjalne, technicy, towarzystwo śpiewu, towarzystwo strzeleckie, a na wszystkich panowała ochota i wesołość, ozdabiane uprzejmością gospodyń i gospodarzów, tak, że każdą razą dopiero późny wieczór do powrotu zmuszał. Jeżeli gdzie to w naszym zwykle osowiałym Krakowie podobne zabawy mają i pewne dalsze znaczenie, bo w naszém gnieździe może więcéj jak gdzieindziéj potrzeba rozbudzenia życia, ruchu towarzyskiego, potrzeba walić chińskie mury. Towarzyskość karnawałowa przelotną jest i ma w sobie coś nienaturalnego, sztucznego, nocna jest i zresztą wymaga wiele form i zachodów. Zato w salonach przyrody otwartych dla każdego bezpłatnie przez kilka miesięcy, jest i dla wszystkich miejsce i nic swobody nie krępuje; więc też jakoś łatwiéj ludzie do ludzi się garną i lepiej im razem wśród jasności dnia, pod ruchomemi arkadami, szumiących lip i brzóz, niż w ślimaczych skorupach miastowych murów.

Ostatnia wojna pozbawiła nas jednéj z najbliższych i bardzo miłych ustroni: kępy zwierzynieckiéj, którą wycięto do szczętu, żeby drzewa nie przeszkadzały kulom, które nie nadeszły. Najeżona pniakami, wygląda ona teraz jak głowa, na któréj pozakręcane papiloty; lecz tylko pamięć nasza może jeszcze wysnuwać z nich srebrzyste warkocze nadwiślańskich topoli. Ten sam los wycięcia spotkał i Sikornik pod mogiłą Kościuszki — a botaniczny ogród obcięto dla szańców, które teraz Kraków w kleszczach trzymają. Dziwna, że się nie znajdzie nikt, coby sprawił porządne i bezpieczne łódki na wycieczki Wisłą, bądź do groty Twardowskiego, do Bielan, do Mogiły, do użytku przy wiankach świętojańskich itd. Można z góry zaręczyć, że zrobiłby i dobry interes i zasłużyłby sobie na wdzięczność. Wieczorne przechadzki wodne weszłyby niebawem w zwyczaj.

Korespondencja „Kaliny".

Mlle. *S. T.* **Peszt**. Impossible — la verité est comme le soleil, ou ne peut pas y regarder directement. Epargnez notre courtoisie, et daignez nous ecrire dans Votre langue maternelle.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.